



# ARMAGEDON

GRAHAM MASTERTON



## ROZDZIAŁ 1

### *Waszyngton, DC*

Prezydent Stanów Zjednoczonych David Perry szedł po głównym trawniku przed Białym Domem, gdy nagle oślepl. Zachwiał się i przytrzymał ramienia Pierwszej Damy.

- David? Co się stało?
- Rany boskie. Nic nie widzę.

Platy prezydenckiego helikoptera Marine One zaczęły się obracać i Marian Perry nie usłyszała dobrze męża.

- Słucham?
- Nic nie widzę. Trzymaj mnie za rękę. Poprowadź mnie do schodków. Nie chcę, żeby ktokolwiek zorientował się, że coś mi się stało.
- Davidzie, musimy jechać do szpitala. I to natychmiast!
- Leci z nami doktor Cronin, więc najpierw on mnie zbada.
- Davidzie...
- Marian, spokojnie! Pomyśl, co by się stało, gdybym za chwilę odzyskał wzrok!
- Nie ma dla mnie znaczenia, co by się stało! Mnie zależy przede wszystkim na twoim zdrowiu!

Prezydent mocniej zacisnął dłoń na ręce Pierwszej Damy

i szedł dalej w kierunku helikoptera z nerwową determinacją, a jego żona pilnowała, by nie skręcił na bok.

– Stopnie! – ostrzegła go.

Prezydent sięgnął prawą ręką do poręczy. Jak gdyby nigdy nic odwrócił się do zebranych przedstawicieli mediów, pomachał im w geście pozdrowienia i uśmiechnął się szeroko.

– Pomóż mi wejść. Licz za mnie stopnie.

– Jeden, dwa, trzy... Na szczycie po prawej stoi Doug Latterby. Nie wpadnij na niego – poinstruowała cicho Pierwsza Dama. Wchodzili po stopniach, trzymając się za ręce i uśmiechając.

– Cześć, Doug! – zawołał prezydent, starając się utrzymać wesoły ton. – Jak leci? Dostałeś już te raporty o bezpieczeństwie państwa?

– Właśnie nadeszły, panie prezydencie. Może je pan za chwilę przejrzeć.

– Świetnie.

– Ostatni stopień – ostrzegła Pierwsza Dama.

Prezydent ponownie odwrócił się i jeszcze raz pomachał do kamer i reporterów. Pierwsza Dama poprowadziła go korytarzem Marine One do prywatnej kabiny.

– Pani Perry? – odezwał się Doug Latterby, idąc za nimi.

– Zawołaj doktora Cronina, natychmiast! Startujcie jak najszybciej! Prosto do Szpitala Jerzego Waszyngtona.

– Czy prezydent jest chory?

Prezydent zatrzymał się i odwrócił do Douga Latterby'ego.

– Nic nie widzę, Doug. Nagle straciłem wzrok.

– Jezus Maria! Kiedy to się stało?

– Parę minut temu. Może to coś chwilowego. Zawołaj doktora Cronina i lećmy już.

## ROZDZIAŁ 2

### *AMA lot numer 2849, Atlanta–Los Angeles*

Tylerowi śniło się, że gra w pokera w zadymionym pokoju w Ho Chi Minh, ale nie potrafił rozpoznać symboli na kartach. Zamiast kara, pika, kiera i trefla karty miały rysunki orchidei, gwiazd, haczyków na ryby i filiżanek do herbaty, a figury przyozdobiono rysunkami zielonych małp.

– Podbijam do dwóch tysięcy – odezwał się stary Wietnamczyk po prawej i zaczął tarmosić go za ramię.

– Co? – Tyler się zdziwił. W ogóle nie rozumiał tej gry i był przestraszony, że straci wszystkie pieniądze. A jak wróci do Stanów, jeśli straci pieniądze?

– Proszę pana! – powtórzył Wietnamczyk i znowu potrząsnął go za ramię.

Tyler otworzył oczy. Stała nad nim rudowłosa stewardesa z niewyraźną miną.

– Przepraszam, że panu przeszkadzam, ale mamy pewien problem.

Tyler zakaszłał, pociągnął nosem i z zakłopotaniem rozplątał skrzyżowane nogi. Miał prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu i szerokie barki, i zawsze trudno mu było umościć się wygodnie w klasie turystycznej, zwłaszcza od czasu, kiedy w jedno z kolan wszczepiono sztuczną rzepkę.

- Jaki problem?
- Czy można pana prosić do kabiny pilotów?
- Cholera, chyba nas nie porwano? – Tyler rozejrzał się dookoła.

Stewardesa dotknęła palcem ust.

– Nie, proszę pana. Ale mimo to proszę, by poszedł pan ze mną do kokpitu.

– Nie ma sprawy.

Tyler rozpiął pasy i ruszył za stewardesą, lekko kulejąc. Większość pasażerów spała albo słuchała muzyki z iPodów. Zaledwie dwóch miało uniesione zasłony i wyglądało w mrok nocy. Góry Sangre de Cristo przesuwały się pod nimi powoli, upiorne, pokryte śniegiem. Niebo usiane było gwiazdami.

Stewardesa wbiła kod dostępu w klawiaturę i Tyler wsunął się za nią do kabiny pilotów. Pilot, drugi pilot i nawigator siedzieli w swoich fotelach, oprócz tego w niewielkiej kabine stało dwóch stewardów i stewardesa, a teraz jeszcze dołączyli ruda stewardesa i on. Po twarzy drugiej stewardesy poznał, że płakała.

– Dziękujemy, że pan przyszedł – odezwał się starszy ze stewardów.

– Nie ma za co – odparł Tyler. Nie nawykł do takich uprzejmości. Miał zaledwie trzydzieści jeden lat, ale i tak wyglądał na dwadzieścia pięć ze swoimi zmierzwionymi blond włosami, jasnoszarymi oczami i lekko kanciastą szczęką, cechami, które odziedziczył po swojej matce Szwedce. Jego była dziewczyna, Nadine, ciągle powtarzała, że nawet gdy miał na sobie elegancki garnitur, i tak wyglądał, jakby brakowało mu deski surfingowej pod pachą.

– Nie będę niczego owijał w bawełnę, proszę pana – powiedział steward. – Jakies dwadzieścia pięć minut temu kapitan Sherman stracił wzrok, a dziesięć minut później reszta jego załogi.

Tyler gapił się na niego ze zdziwieniem, potem spojrzał na nawigatora, który siedział przed swoimi instrumentami, palcami zasłaniając oczy.

– Stracili wzrok? Cała trójka? Są zupełnie ślepi?

Steward skinął głową.

– Nie wiemy dlaczego. Oni też nie mają pojęcia. Może to jakiś wirus, który dostał się tu przez system wentylacyjny. Trudno powiedzieć.

– Twierdzi pan, że jesteśmy dziesięć tysięcy metrów nad ziemią i załoga nic nie widzi?

– To nie jest aż takie straszne, jak może się wydawać – odezwał się kapitan Sherman, odwracając się w fotelu. Miał siwe włosy i mocno opaloną twarz. Z powodu swojej wielkiej głowy przypominał Tylerowi telewizyjnego aktora Gene'a Barry'ego. Wzrok pilota był pozbawiony ostrości, zupełnie jakby mężczyzna wpatrywał się w punkt kilka metrów za jego plecami. – Mamy automatycznego pilota i komputerowy system podejścia do lądowania.

– To pocieszające. Czy kontrola ruchu lotniczego wie już, co się stało?

– Poinformowaliśmy kontrolę ruchu lotniczego w Los Angeles, że mamy sytuację alarmową. Na liście pasażerów szukano kogoś choć trochę znającego się na lataniu i ktoś na dole wskazał pańskie nazwisko. Dlatego poprosiliśmy pana do nas.

– Cholera jasna, ja jestem tylko kaskaderem. Największy samolot, jaki pilotowałem, to cessna sto siedemdziesiąt dwa i zrobiłem zaledwie parę kółek w powietrzu. Gdzie niby miałem się nauczyć latać tym potworem? Na dodatek na pokładzie są ludzie. A jeśli rozbiję samolot i wszyscy zginą?

– Nie musi pan o nic się martwić, panie Jones. Poprowadzę pana przez wszystkie procedury lądowania. Przy odrobinie szczęścia nie będzie pan musiał niczego dotykać poza kilkoma przełącznikami. Pana babcia potrafiłaby to zrobić,

ale jako dodatkowe zabezpieczenie woleliśmy mieć za sterami kogoś, kto ma pojęcie o pilotowaniu.

– Nie wiem nawet, czy moje ubezpieczenie obejmuje takie sytuacje.

– Panie Jones, ubezpieczenie jest teraz najmniejszym z pana problemów. Nikt z pasażerów samolotu nie poda przecież pana do sądu za to, że uratował mu pan życie, a jeśli panu się to nie uda, to i tak chyba nie będzie to miało większego znaczenia, prawda?

Drugi pilot odwrócił głowę w ich stronę. Był azjatyckiego pochodzenia, miał czarne, lśniące włosy i cienki wąsik. Patrzył w sufit niewidzącymi oczami.

– Może pan to zrobić dla wszystkich pasażerów. Jeśli wylądje pan bezpiecznie, stanie się pan bohaterem. Niech pan spojrzy. – Mężczyzna sięgnął do kieszonki koszuli i wyjął fotografię małej dziewczynki w sukience w czerwoną kratkę, bujającej się na huśtawce. – Jeśli nie chce pan tego zrobić dla pasażerów ani nawet dla siebie, proszę to zrobić dla tej dziewczynki, która w przeciwnym razie straci ojca.

Tyler spojrzał na twarze załogi. Uwielbiał ryzyko – przekakiwanie na crossowym motocyklu przez pięć samochodów, skoki spadochronowe z balonów na rozgrzane powietrze, podpalanie się i skoki z budynków. Gdy wykonywał swoje kaskaderskie popisy, nie był jednak odpowiedzialny za innych ludzi, a jedynie za siebie. Odpowiedzialności za innych unikał w życiu codziennym. I jeszcze pajaków. Bardzo bał się pajaków.

– Będziemy na bieżąco mówić, co należy robić – oświadczył kapitan Sherman. – Obiecuję, że będzie to dla pana jak spacer po parku.

– Mógł pan użyć innego porównania – odparł Tyler. – Ostatnim razem, gdy spacerowałem po parku, ugryzł mnie w tyłek doberman.

## ROZDZIAŁ 3

### *Los Angeles*

Na autostradzie 101 dwa i pół kilometra na wschód od Encino zepsuła się ciężarówka przewożąca bydło. Droga była zablokowana prawie godzinę, gdy poganiacze uspokajali przestraszone zwierzęta i przepędzali je do drugiej ciężarówki. Przez to wszystko Jasmine była spóźniona już czterdzieści pięć minut.

Nie cierpiała się spóźniać. Ciężko pracowała na dobrą opinię, wszystkie jej dostawy były punktualne albo nawet przyjeżdżały przed czasem. Miała przydomek Ranny Ptaszek, a drzwi jej ciężarówki zdobił namalowany wizerunek wrony wyciągającej z ziemi długiego robaka.

Wcisnęła pedał gazu w podłogę, aż potężny, czerwony ciągnik siodłowy Mack z naczepą towarową osiągnął prędkość stu kilometrów na godzinę. Zwykle nie słuchała muzyki białych zespołów muzycznych, ale *Bat Out Of Hell* Meat Loafa nie było takie złe i śpiewała razem z nim, pędząc drogą i mijając Sunset Boulevard i Santa Monica Boulevard: *The sirens are screaming and fires are howling... way down in the valley tonight.*

Na naczepie osiemnastokątowej ciężarówki przewoziła trzy pomalowane na jaskrawożółty kolor dieslowskie studziesięstokilowatowe generatory prądu o masie jednej tony



każdy. Miała je dostarczyć na plac budowy przy Mateo Street na dziewiątą rano.

Jasmine zawsze traktowała życie jako poważne wyzwanie i czuła, że musi udowodnić swoją wartość i starać się bardziej niż inni, a zwłaszcza mężczyźni. Gdy miała szesnaście lat, zaczęła trenować koreańską sztukę walki wręcz, by rzucić ojcem w drugi kął pokoju. Złamała mu nos i lewy nadgarstek, a po wszystkim ojciec już nigdy nie podniósł ręki na matkę.

Od tego czasu, dzięki treningom taekkyeon, czuła się w życiu o wiele pewniej. Miała wyjątkowo egzotyczną urodę, etiopskie rysy, krótkie, zaczesane do góry włosy, złote koła w uszach i usta, które nadawały jej wygląd wiecznie nadąsanej. Piersi miała takie, że jak się jakiś facet na nie zagapił, to mógł wpaść na latarnię. Każdy mężczyzna, który chciał ją poderwać, ryzykował poważne urazy ciała.

– *Like a bat out of hell* – śpiewała falsetem. – *I'll be gone, gone, gone!*

Mimo że był to środek porannego szczytu i panował duży ruch, Jasmine udawało się zmieniać pasy tak, żeby utrzymać swoją tranzytową prędkość. Zbliżając się do rozjazdu East Los Angeles Interchange, wyprzedziła cysternę firmy Amoco i autobus z emerytami. Jechała z prędkością sporo przekraczającą siedemdziesiąt kilometrów na godzinę, gdy skierowała się na zjazd z autostrady przechodzący w most nad rzeką Los Angeles.

– *...and I never see the sudden curve until it's way too late...*

Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, tuż przed nią, zielony hummer gwałtownie skręcił i uderzył w betonową barierkę. Fragmenty karoserii wyleciały w powietrze, a wóz obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni i stanął przodem do ciężarówki Jasmine. Jasmine wcisnęła hamulec do samej podłogi, ale nie miała najmniejszej szansy na uniknięcie kolizji. Uderzyła

czołowo w hummera i wbiła go w betonową dźwiękochłonną ścianę otaczającą zjazd.

Nic nie usłyszała, nawet pisku opon, zobaczyła jedynie fragmenty nieba, mostu, drzew i innych samochodów. Moczyła się z kierownicą, gdy ciężarówkę zaczęło znosić na bok. Mack pchał pozostałości po hummerze jak olbrzymi potwór uciekający ze śmiertelnie raną ofiarą.

O mój Boże, pomyślała. To pewnie koniec.

Jej ciężarówka odbiła się od betonowej balustrady po prawej stronie, potem uderzyła w lewą balustradę i zepchnęła pokiereszowanego hummera z estakady, robiąc wyrwę w barierze ochronnej z prawej strony. Hummer spadł z wysokości piętnastu metrów, uderzył o betonowe dno suchego kanału i przeturlał się kilka razy z szeroko otwartymi drzwiami.

Jasmine bała się, że jej ciężarówka też spadnie z estakady, ale na szczęście osiemnastokółowiec zatrzymał się na samej krawędzi wiaduktu. Uderzyła czołem o kierownicę, gnio-tąc okulary przeciwsłoneczne. Prawie straciła przytomność. Była oszołomiona, ale udało jej się wyprostować i normalnie usiąść w fotelu kierowcy.

Nic mi się nie stało. Nie spadnę, pomyślała. Ale zaraz potem poczuła uderzenie w naczepę i kolejne, i całą serię uderzeń popychających ciągnik siodłowy do przodu, aż koła jego przedniej osi znalazły się poza krawędzią estakady, ciągnąc cały zestaw do przodu.

Jasmine odzyskała słuch, zupełnie jakby ktoś nagle z powrotem włączył radio. W lusterku bocznym dostrzegła, że zerwało się kilka stalowych lin mocujących generatory i dwa z nich spadły na drogę. Stały się kotwicami zabezpieczającymi ciężarówkę przed stoczeniem się w przepaść.

Uderzenia w tył przyczepy pochodziły od samochodów – osobowych, SUV-ów, autobusów i furgonetek – rozbijających się jeden po drugim. Cały zjazd z autostrady zabloko-

wała sterta pogiętej blachy. Niektórzy kierowcy wydostali się z samochodów, ale wielu utknęło w pułapkach, drzwi mieli pogięte albo zablokowane przez sąsiednie pojazdy.

– Boże Wszechmogący! – wykrzyknęła Jasmine. – Trzeba zwiewać!

Ciągnik jej zestawu drogowego pochylał się nad przepaścią pod kątem dwudziestu stopni i przez przednią szybę było już widać betonowe dno suchego kanału i hummera leżącego na dachu. Nic nie wskazywało na to, że komukolwiek udało się z niego wydostać. Ostrożnie otworzyła drzwi i spojrzała w dół, zdając sobie sprawę, że musi wyjść z kabiny i wspiąć się z powrotem na estakadę. Miała nadzieję, że pozostałe liny trzymające generatory nagle się nie zerwą.

Słyszała krzyki i nawoływania ludzi, i kolejne uderzenia rozbijających się samochodów.

– No dalej, Jazz – powiedziała. – Dasz radę.

Zsunęła się z siedzenia i stanęła na stopniu kabiny. Nad miejscem wypadku krążyły dwa helikoptery – jeden policyjny, a drugi należący do telewizji KNBC. Spojrzała do tyłu i zdała sobie sprawę, że w karambolu musiało uczestniczyć ponad dwieście samochodów. Estakada wyglądała jak droga do Basry pod koniec operacji Pustynna Burza. Najbardziej przeraził ją widok dymiącego forda explorera w samym środku karambolu, zaledwie trzy czy cztery auta od cysterny z paliwem.

Wspięła się po pochylonym stopniu na tył kabiny. Opuściła się na rękach i rozbijała ciało, by oprzeć but o krawędź drogi. Odepchnęła się od kabiny, zeskoczyła na drogę i dla równowagi złapała wystający element olbrzymiego generatora.

Samochody osobowe i SUV-y tworzyły zbitą masę pojazdów i gdy uciekała, musiała skakać po ich maskach i dachach. Kierowcy i pasażerowie siedzieli uwięzieni w środku, niektórzy naciskali klaksony, co jeszcze dodawało grozy sy-

tuacji; inni walili pięściami w szyby, próbując je wybić i jakoś się wydostać. Wielu ludziom udało się opuścić boczne szyby i wyjść na zewnątrz. Jasmine zobaczyła otyłego kierowcę SUV-a, który zdołał przecisnąć się przez okno tylnych drzwi, ale zaklinował się w szczelinie pomiędzy swoim samochodem a maską vana FedExu. Czerwony na twarzy i łkający jak dziecko grubas walił pięściami w osłonę chłodnicy furgonetki, a kierowca vana patrzył na to i nie mógł absolutnie nic zrobić, by mu pomóc.

Jasmine pozostało jeszcze ze sto metrów do autostrady, gdy dym z palącego się explorera nagle zrobił się gęstszy. Odwróciła się akurat w chwili, gdy explorer wybuchł i w powietrze wzbijała się pomarańczowa kula ognia. Eksplozja była silna i ogłuszająca, ale jeszcze gorsze były przytłumione wrzaski setek ludzi uwięzionych w samochodach, przypominające mysie piski.

Po paru sekundach zapaliło się kombi obok explorera, a chwilę później van bezpośrednio przed SUV-em. Wokoło rozchodził się gęsty, brązowy dym, który sprawiał, że miejsce to wyglądało jak pole walki. Jasmine wdrapała się po pochylej masce cadillaca STS i wreszcie dotarła do przeciwnej betonowej bariery. Szła po balustradzie, łapiąc się co jakiś czas dachów samochodów dla utrzymania równowagi.

Przez hałas wirników helikopterów usłyszała serię uderzeń i trzasków i cysterna Amoco eksplodowała. Chociaż Jasmine była już po drugiej stronie estakady, a na dodatek osłaniał ją jeep, to i tak poczuła gorący silny podmuch, który niemal zbił ją z nóg.

Eksplodował kolejny zbiornik z paliwem jakiegoś samochodu, a po nim następny i następny... Ludzie uwięzieni wewnątrz krzyczeli coraz głośniejszemu z przerażenia, tworząc piekielny chór jęków i zawodzenia. W ciągu niecałej minuty w ogniu stanęło ponad pięćdziesiąt aut.

Jasmine zobaczyła z daleka sześciu, może siedmiu ludzi, którzy zataczając się i potykając, uciekali od ognia. Byli osmoleni, a na kilku z nich płonęły ubrania. Dwa samochody dalej dostrzegła rodzinę z czwórką dzieci rozpaczliwie walących pięściami od wewnątrz w szyby płonącego voyagera. Wszyscy mieli piękne blond włosy. Jasmine odniosła wrażenie, jakby cały album rodzinny wrzucono do ognia.

Była już niemal na początku zjazdu, gdy usłyszała krzyk kobiety:

– Ratujcie moje dziecko! Na miłość boską! Ratujcie moje maleństwo!

Jasmine zasłoniła twarz ręką przed żarem. Dym był już tak gęsty, że z trudem oddychała. W samym środku skłębionych pojazdów jakiejś kobiecie udało się opuścić szybę SUV-a od strony pasażera. W rękach trzymała niemowlę. Obok niej na kierownicy leżał mężczyzna z zakrwawioną głową. Był nieprzytomny lub nie żył.

Dziecko miało czerwoną buzię, zanosilo się płaczem i machało rączkami i nóżkami we wszystkie strony. Kobieta uspokajała je, ale cały czas krzyczała:

– Ratujcie moje dziecko! Niech ktoś uratuje moje dziecko!

Jasmine wdrapała się na maskę taksówki wgniecionej pomiędzy ciężarówkę dostawczą a betonową balustradę. Taksówkarz leżał na boku nieprzytomny lub nieżywy, a pasażerka z tyłu, krzycząc histerycznie, kopała obcasem w szybę.

Jasmine przeczołgała się po masce i przeszła po odkrytej skrzyni ciężarówki. Kolejne pięć, sześć samochodów eksplodowało w odległości jakichś stu metrów, a wyrzucony w powietrze stary chevy pick-up z potwornym łomotem wylądował na ziemi do góry kołami.

Wspięła się na dach niebieskiego vana dostarczającego prasę, stojącego tuż obok SUV-a wołającej o pomoc kobiety, która w wyprostowanych rękach trzymała niemowlę i błagała:

– Ratuj mojego chłopczyka, proszę!

Jasmine wychyliła się z dachu vana i próbowała wziąć dziecko w ręce, ale chłopiec machał rączkami i nóżkami, co tylko utrudniało zadanie.

– Czy może pani unieść go odrobinę wyżej?

– Nie dam rady. Mam zaklinowane nogi.

– Dobrze, to ja spróbuję się trochę bardziej wychylić.

Nastąpił kolejny wybuch, tym razem znacznie bliżej.

– Matko Boska, jak ci biedni ludzie strasznie krzyczą!

Jasmine chwyciła się lewą ręką lusterka bocznego vana i wysunęła się odrobinę dalej. Udało jej się dotknąć koniuszków palców dziecka, które nagle przestało płakać i tylko patrzyło ze zdziwieniem. Chłopczyk wyciągnął jedną rączkę w jej kierunku, w tym samym momencie Jasmine wysunęła się jeszcze dalej poza krawędź dachu vana i złapała za rękaw ubranka malucha.

Przez moment myślała, że wysunęła się za daleko, upuści dziecko i sama spadnie, przygniatając je. Krzyknęła i powoli, centymetr po centymetrze, zaczęła się podciągać; dostrzegła, że wsporniki lusterka, którego się trzymała, wyginają się pod jej ciężarem.

– Proszę się nim zaopiekować – błagała matka dziecka.

– Oczywiście. Wszystko będzie w porządku. Służby ratunkowe za chwilę przybędą i wyciągną panią.

Kobieta spojrzała na nią oczami, w których malował się paniczny strach i brak wiary w ratunek.

Gdy Jasmine z niemowlęciem dotarła z powrotem do betonowej balustrady, usłyszała kolejną eksplozję tuż za sobą. Odwróciła się i zobaczyła, że SUV młodej matki stanął w płomieniach, a kobieta uwięziona w środku w agonii szarpała głowę na boki. Mężczyzna obok niej nadal leżał nieruchomo na kierownicy.

– Mój Boże – westchnęła Jasmine. – Jak mogłeś pozwolić, żeby wydarzyło się coś tak okropnego.

Coraz więcej wozów eksplodowało. Gdy Jasmine dotarła do głównej drogi, dym był tak gęsty, że nie wiedziała dokładnie, dokąd idzie. Słyszała nadjeżdżające wozy strażackie, wycie ich syren i trąbienie potężnych klaksonów, ale zdawała sobie sprawę, że nie istniała najmniejsza szansa, by dotarły do płonących wraków, bo prawie kilometrowy odcinek blokowały rozbite auta.

♦ ♦ ♦

Jasmine szła dalej poboczem autostrady, niosąc płaczącą i wierzącą się niemowlę.

– No dobrze, już dobrze – uspokajała je, głaszcząc maleństwo po plecach. – Wszystko będzie dobrze, koleżko. Zobaczysz, wszystko dobrze się skończy.

Wydostali się wreszcie poza zasięg dymu. Jasmine szła dalej w gorącym słońcu poranka i nie obejrzała się ani razu, nawet gdy powietrzem wstrząsały kolejne eksplozje. Przed następnym zjazdem z autostrady na Alameda Street niemowlę usnęło wtulone w jej ramiona. Jasmine nie miała najmniejszego pojęcia, o czym takie maleństwo może śnić.

## ROZDZIAŁ 4

### *Miami, Floryda*

– Śniło mi się, że mój szofer zawiózł mnie do Classic Grille. Musiałam koniecznie zjeść hamburgera z mięsa homara i kraba. Otworzył mi drzwi i przestąpiłam próg restauracji napuszona jak supermodelka. Wszyscy się na mnie gapili, a ja szłam z zadartym nosem, okręcając palcami naszyjnik z pereł. I wtedy zaczepił mnie szef sali. „Czy pani czegoś nie zapomniała?”. „Nie sądzę, Luigi. A czego niby miałabym zapomnieć?“, odpowiedziałam. Pochylił się i wyszeptał mi do ucha: „Nie ma pani na sobie ubrania”. Spojrzałam po sobie i faktycznie, miał rację. Jeśli nie liczyć pereł i czarnych butów od Prady, byłam goła jak mnie Pan Bóg stworzył.

Niemalże zakrztusiłam się moim kolorowym drinkiem, a jeśli kiedykolwiek spotkaliście panią Zlotorynski, to wiecie dlaczego. Była sucha jak wiór, miała siedemdziesiąt jeden lat, na twarzy ogromne okulary przeciwsłoneczne od Chanel i nos jak myszołów polujący na pieski periowe.

– Czy domyśla się pani, co ten sen może znaczyć? – zapytałam.

– Że nie czuję się bezpiecznie?

Pokręciłam głową.

– Ogarnia mnie strach, że ludzie dowiedzą się, że urodziłam się w południowym Bronxie, a mój ojciec był zwykłym



krawcem szyjącym podszewki do ubrań? – Pani Zee pochyliła się w moją stronę i powiedziała to ochryplym szeptem, chociaż najbliższy plażowicz był kilka metrów od nas i na dodatek spał, głośno chrapiąc.

Ponownie pokręciłem głową.

– Czyli boję się, że stracę wszystkie pieniądze i wyląduję na bruku?

– Nie, pani Zlotorynski, pani sny nie mają nic wspólnego z pani statusem społecznym ani z pani brakiem pewności siebie, ani z inwestycjami świętej pamięci pani małżonka w zakup akcji Pfizera. Zapotrzebowanie mężczyzn na viagrę nigdy nie zmaleje! Ten sen po prostu oznacza, że ma pani pewien wewnętrzny blask, którym bardzo rzadko pani emanuje. W codziennym życiu, gdy załatwia pani różne sprawy na mieście, rzadko okazuje pani ludziom swoją wrodzoną serdeczność.

– Moją wrodzoną serdeczność?

– Tak. Pani doskonale rozumie ludzi, pani Zee. Potrafi pani odczuwać to, co oni czują. Promieniuje z pani duchowy blask. Ale trzyma go pani w swojej wewnętrznej szkatułce na biżuterię, więc nikt nie ma najmniejszej szansy poznać się na pani dobroci.

Pani Zlotorynski podciągnęła swoje chude nogi i usiadła prosto. Przez okulary przeciwsłoneczne nie można było dostrzec jej oczu, ale postawiłbym dziesięć banknotów z portretem Benjamina Franklina, że oczki te miały świński wyraz samozadowolenia i akceptacji. No, może były jeszcze bardziej świńskie niż zwykle, bo operacje plastyczne powiek nie zawsze się przecież doskonale udają.

Trąciła mnie w ramię polakierowanym na pomarańczowo paznokciem – raz, drugi, trzeci. Czuję się, jakby wielokrotnie ukłuł mnie wyjątkowo natrętny komar.

– Ni-gdy-się-pan-nie-my-li! – przytaknęła. – Faktycznie

mam duchowy blask. A także wewnętrzne ciepło. I piękno. W środku cała lśnię. Ale... jest pan jednym z nielicznych ludzi, którzy potrafili to dostrzec. Oczywiście oprócz Morry'ego, *alev ha sholem\**, ale Morry tak rzadko bywał w domu, że jak mógł to docenić?

Poprawiłem się w krześle, próbując wydostać się z zasięgu jej paznokci.

– Widziałem pani kierowcę. Jak on tam się zowie? Emigdlio. Gdy tylko się pani odwróci, robi takie miny, że aż wstyd. Nie uważa pani? I to wyłącznie dlatego, że poprosiła go pani, by odwiózł pani przyjaciół do ich domu na Key West o drugiej trzydzieści nad ranem! Przecież to raptem niecałe pięćset pięćdziesiąt kilometrów tam i z powrotem! A ta Rosita? Ta niby pani służąca. Gdy kazała jej pani podgrzać patyczek z wacikiem, to co zrobiła? Powiedziała, że nie jest weterynarzem, tupnęła nogą i zrobiła obrażoną minę. Czy ci ludzie nie rozumieją, jak pani ceni ich pracę? Chyba nie. Ale dlatego właśnie zawsze pozostaną „małymi ludzikami”, prawda? Tak ich pani przecież nazywa? Oni nie zasługują na nic dobrego!

– Święta racja! – przyznała pani Zlotorynski. Otworzyła torebkę z pomarańczowego zamszu i wyciągnęła z niej lusterko, żeby poprawić słomkowy kapelusz od Marilyn Hiki-da z przybraniem z pomarańczowych piórek pasujących do równie pomarańczowej szminki. – Bo oni są takimi małymi ludzikami, niech Bóg ma ich w swojej opiece. Bóg stale musi się takimi opiekować, prawda? Oni sami nie radzą sobie na tym świecie!

Podniosłem szklankę z drinkiem w ramach toastu. Moi kochani, cudownie się tu bawiłem. Mój stary kumpel od pokera, Marco Hernandez, wyjechał na trzymiesięczne tournée po

---

\*Alev ha sholem (hebr.) – Niech spoczywa w pokoju.